

zaPAU

Śmiać się, czy płakać?

Usłyszałem niedawno, że najważniejszym wskaźnikiem, za pomocą którego „wtajemniczeni” lub inaczej „wpływowi” oceniają czasopismo naukowe, jest PROCENT ODRZUCONYCH PRAC. Nie jakość prac, nie kto publikuje, nie wpływ na dalszy rozwój nauki, nie liczba cytowań, tylko właśnie liczba odrzuconych prac. Dopytując się wśród znajomych, dowiedziałem się, że „najlepsze”, czyli najbardziej „prestżowe” (cokolwiek by to miało znaczyć), odrzucają przeszło 90% nadesłanych prac. Podobno, jeżeli redakcja nie odrzuca więcej niż 30 procent, to czasopismo się w ogóle „nie liczy”.

Ta opinia ma, zapewne, swoje uzasadnienie. Prawdopodobnie inne parametry, które dla naiwnego obserwatora mogłyby się wydawać bardziej adekwatne dla oceny jakości czasopisma, są tak silnie skorelowane z tym wskaźnikiem, że w pierwszym przybliżeniu procent odrzuconych prac wystarcza do oceny.

Muszę przyznać, że zjawisko to wydaje mi się dość dziwne i chyba mówi coś o socjologii środowiska naukowego, a w każdym razie o postawach i nastrojach wśród ludzi nauki. Można by się przecież spodziewać, że informacja o tym, że czasopismo N odrzuca przeszło 90 procent prac, powinna skłonić normalnego badacza do rezygnacji z wysłania tam swojej publikacji. Jeżeli bowiem praca jest wybitna, a wynik ważny, to nie widać powodu, aby użerać się z recenzentami instruowanymi przez redakcję do szukania dziury w całym. Wiadomo przecież, że praca wybitna zostanie zauważona i doceniona, nawet gdy będzie opublikowana w czasopiśmie mniej „prestżowym” niż N. Z drugiej strony, przeciętna lub słabsza praca nie ma szans na opublikowanie w N, a tylko podnosi jego „prestż”, zwiększając ułamek odrzuconych prac. Czyli nie ma sensu jej tam wysyłać. Mechanizm ten winien więc poważnie redukować liczbę nadsyłanych prac, a w rezultacie redukować również współczynnik odrzuceń. Jak widać, ta prosta logika najwyraźniej nie działa.

Można zadać pytanie, dlaczego tak się dzieje. Przychodzą mi do głowy dwie hipotezy. Być może, ludzie nauki (a przynajmniej znaczna część spośród nich) są przeświadczeni, że ich rezultaty zasługują na najwyższe uznanie i stąd „należy im się” publikacja w najbardziej prestiżowym czasopiśmie. Taka zawyżona samoocena nie jest rzadka, a ponieważ w dodatku zazwyczaj pomaga w prowadzeniu badań, wzmacniając wiarę w siebie (a więc i motywację do zwiększonego wysiłku), trudno ją kwestionować. Jeżeli nie dochodzi do przesady lub wręcz samouwielbienia, wszystko jest w porządku.

Jednak bez wątplenia nie wszyscy uczeni są tak pewni siebie. Dla tych z niższą (realistyczną?) samooceną,

ewentualną motywacją wysłania pracy do „prestżowego” czasopisma może być chęć sprawdzenia się, lub naturalna pokusa hazardu. Na zasadzie: czemu nie spróbować, może się uda? Zwłaszcza że ryzykuje się niewiele, najwyżej pewne opóźnienie publikacji. Przy obecnych możliwościach komunikacji elektronicznej nie ma to większego znaczenia.

Obie hipotezy nie odpowiadają jednak na znacznie ciekawsze, moim zdaniem, pytanie: dlaczego w ogóle ludziom nauki tak bardzo zależy na publikacji w „prestżowym” czasopiśmie. Naturalnie jedną z motywacji jest z pewnością system ocen, oparty na szaleństwie „dziedziczenia prestiżu”, który odgrywa ważną rolę przy staraniu się o fundusze na naukę, granty, stypendia etc. Nie mówiąc już o finansowaniu instytucji naukowych. Ale to może być tylko część odpowiedzi, bo nie wyjaśnia, dlaczego temu ciśnieniu poddają się nawet ludzie bardzo wybitni, o niekwestionowanych osiągnięciach, których nikt nie będzie chciał, a nawet gdyby chciał, to nie ośmieli się, oceniać za pomocą parametrów i „punktów”.

Możliwe, że przynajmniej częściowe wyjaśnienie można znaleźć w historii, którą – wiele lat temu – opowiedział mi jeden z wybitnych fizyków, wtedy już sam w podeszłym wieku. Gdy był jeszcze młodym człowiekiem, napisał pracę z zakresu mechaniki kwantowej (która była wówczas nowością, intensywnie rozwijaną) i przesłał ją do oceny Nielsowi Bohrowi, ówczesnemu „papieżowi” fizyków zajmujących się tą problematyką. Zaraz potem dostał stypendium do Stanów Zjednoczonych (o ile pamiętam, półroczne) i wyjechał z Europy. Przebywając po drugiej stronie Atlantyku, otrzymał list od Bohra z prośbą, aby wstrzymał się z publikacją, do czasu gdy będą mogli porozmawiać (czyli do jego powrotu do Europy). Mój rozmówca, bardzo zmartwiony, będąc przekonany, że Bohr znalazł w pracy jakiś błąd, przyjechał po zakończeniu pobytu w Stanach do Kopenhagi i przyszedł z bijącym sercem do Mistrza. Tymczasem Mistrz poprosił go jedynie, aby w pewnym miejscu... zacytował jedną z jego prac. Czyli nawet Niels Bohr, autorytet absolutny, do którego wszyscy fizycy tego czasu niemal się modlili, poczuł się niedoceniony...

Nie ma się więc co dziwić, że podobne odczucia pojawiają się także dzisiaj, nawet wśród bardzo wybitnych uczonych, o dużym autorytecie (może nie takim, jakim cieszył się Niels Bohr, ale jednak poważnym). Oni również chcą być docenieni. Cóż, uczeni – nawet najwięksi – to też tylko ludzie.

I wydawcy czasopism naukowych doskonale o tym wiedzą.

ANDRZEJ BIAŁAS

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.